

Listopadowa wycieczka na Śnieżkę

Tego jeszcze nie było. A przynajmniej dawno tak nie było. Chociaż, szczerze mówiąc, nie przypominam sobie takiej sytuacji by u progu trzeciej dekady listopada Śnieżka nie była przykryta białym puchem. Zaczniemy jednak od początku. Właśnie ze względu na dobre prognozy pogodowe postanowiłem wybrać się na wycieczkę. Ale był też drugi powód takiej decyzji. Człowiek z upływem lat staje się coraz wygodniejszy. Usłyszałem, że w przyszłym roku Czesi postanowili rozebrać wyciąg krzesełkowy jaki kursuje po ich stronie gór. Stary obiekt osiągnął tzw. śmierć techniczną. Służy turystom od 1949 roku, a więc przez dobrze ponad pół wieku. Nowy wyciąg będzie budowany jako czteroosobowe gondole. Pozwoli to zachować dotychczasową przepustowość co w obecnych czasach jest koniecznością. Dla nas jednak najważniejsze jest, iż będziemy korzystając z niego czuć się, może nie tyle bezpieczniejsi, co będziemy cieszyli się z o niebo większego komfortu podróży. W końcu z Pecy na Śnieżkę jedzie się obecnie ponad 20 minut. Dobrze zatem jest wtedy gdy nie pada deszcz czy śnieg. Ale gdy pogoda nie jest dla nas łaskawa przejażdżka taka nie należy do najprzyjemniejszych. Dlatego cieszymy się z podjęcia takiej decyzji. Martwi nas tylko myśl, ileż to taka wycieczka będzie kosztować. Bo wydaje się, że dzisiejsze 330 koron to trochę drogo. A przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie sądzi, że cena nie ulegnie wyższości.

Ponieważ kilkanaście lat temu odbyłem już taką wycieczkę, pamiętałem, że przy parkingu stały dorożki, które podwoziły nas pod sam wyciąg. Niestety okazało się, że dzisiaj (19.11.2011) tak nie jest. Nie miałem czasu pytać się czy jest tak z powodu pory roku czy po prostu już nikt nie świadczy takiej usługi. Dlatego nie było wyjścia trzeba było ruszyć pieszo. I o dziwo, zarówno ja jak i namówieni przeze mnie znajomi oraz moja małżonka, nawet nie spociliśmy się. A, zgodnie z radą parkingowego nie ociągaliśmy się. Mówił on by nie zwlekać bo zaraz zacznie się tłok. Faktycznie przy wyciągu stała już kolejka. Dotarcie do kasy nie zabrało nam więcej jak dwadzieścia minut. Wiatru prawie nie było, temperatura zero stopni, do tego na tablicy pokazywano, że na szczycie jest tylko minus dwa stopnie. Było zatem z czego się cieszyć. Podczas oczekiwania w kolejce wspominaliśmy widoki jakie ujrzeliśmy jadąc na Przełęcz Okraj. Były niesamowite. Wszystkie doliny wyglądały jak zalane białym mlekiem, z którego wystawały tylko poszczególne szczyty. Coś fantastycznego. Gdyby nam się nie śpieszyło na pewno stanęlibyśmy i wpatrywali się w to niecodzienne zjawisko. Ciekawiło nas czy gdy dojedziemy na Śnieżkę, będzie jeszcze to widać. Pogoda była taka, że niektórzy zabierali ze sobą na spacer swoich psich przyjaciół. Mniejszych i większych. Widzieliśmy jak chowali ich do plecaków ale także jak trzymali te większe na kolanach. Oczywiście duże psiaki to zahartowane twardziele, pewnie nie raz uczestniczące w wycieczce ze swoim panem, dlatego czasami miały tylko przewiazaną czerwoną chustę przy obroży. Natomiast te mniejsze, to takie trzęsidupki. Mimo iż właściciele ubrali je w odpowiednie odzienie to i tak było im zimno.

Wreszcie dotarliśmy do krzesełek. Ponieważ jesteśmy przyzwyczajeni do jazdy na wprost trochę ciekawiło nas jak to będzie jadąc krzesełkami ustawionymi bokiem do kierunku jazdy. Na wszelki wypadek usiedliśmy z przodu tak by zasłonić ciało swoje panie przed zimnymi podmuchami wiatru. Ciekawe czy docenią takie poświęcenie z naszej strony? Wyciąg na Śnieżkę jest dwuczłonowy.

Pierwszym rzutem jedziemy na Różowa Górę. I co ciekawe przecinka, w której suną krzesełka tak zarosła, że gałęzie najbliższych drzew prawie ocierały się o nas. Patrząc na wijącą się pod nami ścieżkę cieszyliśmy się, iż nie postanowiliśmy być maczo i nie poszliśmy na górę pieszo. Czasami warto pomyśleć i wybrać lepsze rozwiązanie. Po dziesięciu minutach zmieniliśmy krzesełka i już mknęliśmy na najwyższy szczyt Karkonoszy. I tutaj spotkała nas niespodzianka. Otóż wspomniane wcześniej mleczne doliny pojawiły się ponownie. Z tym, że z tej wysokości wydawały się one wielkości morza. Niesamowite wrażenie. Chciało się wręcz krzyknąć do obsługi by zatrzymali wyciąg, tak by nacieszyć się tym widokiem. Nie krzyczałem jednak, pewnie i tak by nie usłyszeli. Robiłem za to dziesiątki zdjęć w nadziei, że trafi się tych kilka prawdziwych. Szybko jednak zostałem przywołany przez żonę do porządku. Robiąc zdjęcia i rozglądając się nieustannie, powodowałem niebezpieczne kołysanie krzesełka. Do tej pory nie zwróciłem na to uwagi, ale faktycznie robiło się nieciekawie. Po chwili widać już było całkiem nieźle zabudowania Śnieżki. Starłem się zatem coś z tego widoku utrwalić

aparatem. Niestety gdy myślałem, że dosyć się wychyliłem okazało się, iż na środku zdjęcia widać albo linę albo słup albo krzeselka przede mną. Trudno. Tak to już jest. Wypatrzyłem zatem, a właściwie to żona wypatrzyła, pobielone roślinki pod nami. To chyba szron je tak wybielił. W każdym razie były piękne.

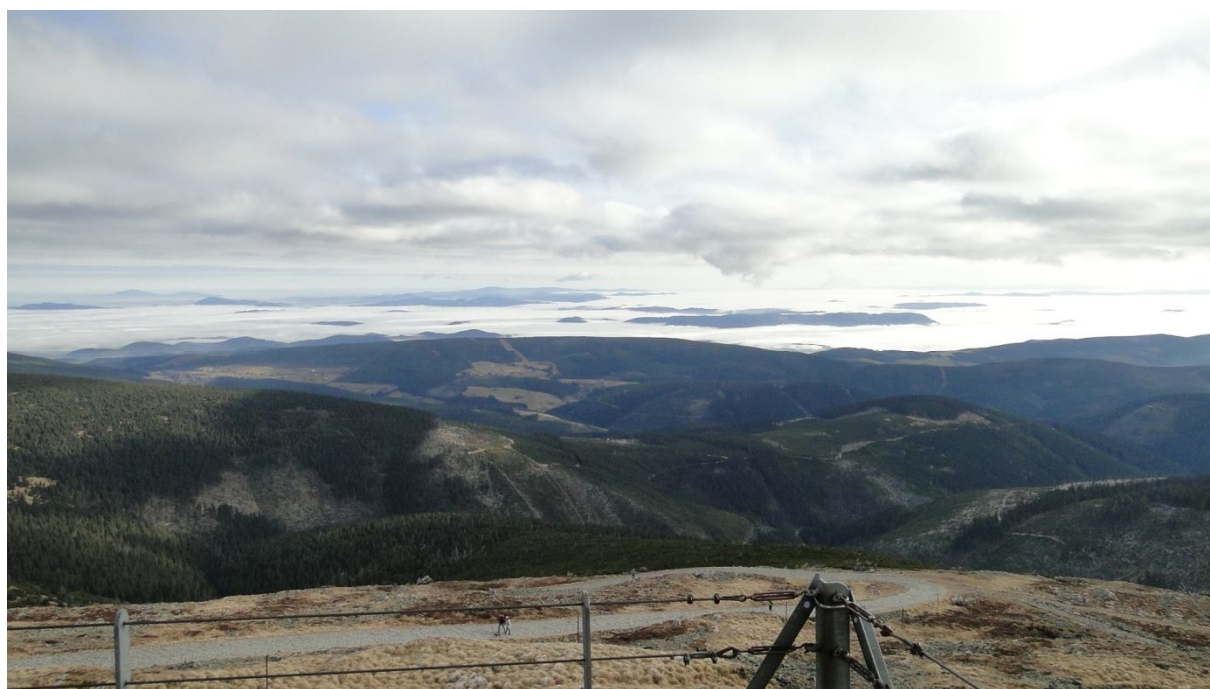


Nareszcie dotarliśmy na szczyt. Obsługa przytrzymała krzeselko i spokojnie mogliśmy zejść na twardy grunt. Pogoda wspaniała. Wiatru praktycznie nie czuć. Nawet momentami ogrzewają nas ciepłe promienie słoneczne. Oglądamy dyski. Po katastrofie budowlanej nie ma najmniejszego śladu.

Chłoniemy widoki. Te na stronę czeską wciąż są takie jak opisywałem. Jednak po naszej stronie zamiast mleka jest tylko lekka mgiełka. Wyraźnie widać zarówno zbiornik w Sosnówce jak i zabudowania miejscowości leżących poniżej. Od razu rzuca się w oczy jakaś wielka budowla. To Gołębiewski. Faktycznie nie sposób go nie zauważyć. Nie wiem jednak co jest gorsze, oczywiście dla oka. Hotel w Karpaczu czy budynek Czeskiej Poczty na szczycie. Jakiś taki dziwoląg. Ma jednak jedną ważną zaletę. Oczywiście nie mam na myśli możliwości wysłania kartki pocztowej. Chodzi o taras jaki przy nim zrobiono. Można stamtąd robić wspaniałe zdjęcia. Ale, najwyższy już czas, by zrobić jakieś pamiątkowe zdjęcie naszej załogi na tle dysków. Bo zejdziemy i nikt nam nie uwierzy, że tutaj nie ma jeszcze śniegu. Ponieważ jednak poczuliśmy lekki chłodek weszliśmy do schroniska. Każdy z nas miał inne zdanie o tym co zobaczył w środku. Ja oczywiście od razu porobiłem całą serię fotografii dokumentujących obiekt. Moi współwycieczkowicze nie próżnowali w tym czasie. Zamówili herbatę.

Muszę powiedzieć, że nie chciałem im wierzyć gdy powiedzieli mi jaka jest cena tego napitku. Po chwili zwróciłem uwagę na umieszczone tablice informujące o zakazie spożywania przyniesionego jedzenia. I słusznie, w końcu dzisiaj jest to tylko interes. Przy takiej ilości przewijających się turystów dawanie np. darmowego wrzątku doprowadziłoby szybko ajenta do bankructwa. Ale kolejny napis jaki ujrzałem: Robienie zdjęć opłata 3 zł; już mnie trochę zeźlił. No jak to tak, to już nie mogę zrobić sobie pamiątkowego zdjęcia. Przecież to nie jest obiekt militarny. Ciekawe czy gdybym wniósł opłatę i poprosił o wyczyszczenie okien, bo nie widzę dostatecznie widoków, doczekałbym się takiej usługi. Wypadało skorzystać z toalety zatem wypatrzyliśmy siedzącego na drewnianym tronie pana trzymającego kasę. Okazało się, że toalety są dwa razy droższe niż u naszych sąsiadów. Ale pan wyjaśnił nam w czym rzecz. Otóż u nas jest ciepła woda, ręczniczki itp. A więc dużo lepszy standard. Faktycznie okazało się to prawdą. Po za tym ubikacje umieszczone w dolnym dysku są najwyżej położonym w Karkonoszach miejscem, w którym można skorzystać z toalety.

Pora jednak była zbierać się z powrotem. Mieliśmy ograniczoną ilość czasu. Udaliśmy się ponownie na czeską stronę góry, by podziwiać widoki, tym razem siedząc obróconymi twarzami w drugą stronę. Ale tutaj niespodzianka. Akurat z tej strony nie było mgły, co pozwalało oglądać niesamowite urwiska. Oczywiście tym razem nie robiłem już tyle zdjęć co jadąc pod górę. W sumie rozmarzyłem się i wyciągnąłem nogi (nie dosłownie) przed siebie. Po chwili przywołało mnie do porządku uderzenie w stopy. Okazało się, że słupy podtrzymujące liny są tak niskie, że wyciągniętymi nogami zahaczyłem o kosówkę rosnącą na zboczu. Szybko, by nie ryzykować niepotrzebnie jakiejś kontuzji, usiadłem w prawidłowej pozycji. Przesiadając się na wyciąg z Różowej Góry miało miejsce małe zamieszanie połączone z zaskoczeniem. Do tej pory bilety wsadzaliśmy do czytników elektronicznych otwierających nam bramki. A tutaj pan z obsługi zabrał nam bilety by przedziurkować je sposobem tradycyjnym, czyli normalnym dziurkaczem. Na dole okazało się, że kolejka do wyciągu wydłużyła się nieznacznie. Czyli pan z parkingu mówił prawdę twierdząc, że zaraz zacznie się tłok. Nie wiem czy to wpływ świeżego powietrza, wrażeń, czy po prostu nadeszła odpowiednia pora ale gdy zobaczyliśmy napis Restauracja u Mamy, od razu tam poszliśmy. Był lekki problem ze znalezieniem wolnych miejsc dlatego przysiedliśmy się do sympatycznej pary Czechów. Widząc, że zastanawiamy się co wybrać z bardzo bogatej oferty doradzili nam na co się zdecydować. Wszyscy skorzystali z dobrej rady. Tylko ja się wyłamałem. Okazało się to błędem. Nie dlatego, żeby coś było z daniem nie tak. Po prostu gdy przynieśli mój talerz od razu wiedziałem, że jest to porcja nie do przejedzenia. Jednak samo jedzenie było bardzo smaczne.



Po takim obżarstwie wracaliśmy do samochodu powolutku, można powiedzieć bardzo spacerowym krokiem. Spokojnie ruszyliśmy w stronę domu. Jeszcze tylko zjeżdżając z Okraju znów podziwialiśmy szczyty wyłaniające się z białego mleka. Trzeba przyznać, że dzisiejszy dzień był wspaniały. Nie spodziewaliśmy się, iż tak ładna pogoda utrzyma się praktycznie do wieczora. Cieszyliśmy się z tego co zobaczyliśmy. Musimy przyznać, że Karkonosze są pięknymi górami. Warto zatem się w nie zapuszczać.

Krzysztof Tęcza